



DOROTA KLAURUCZ

Ochotniczka, sekcyjna Dorota Klaurucz, lat 19, uczennica.

Zostałam wywieziona z Przemyśla 13 kwietnia 1940 roku wraz z matką i siostrą jako rodzina aresztowanego przez władze sowieckie ojca. Aresztowanie nastąpiło w nocy z 12 na 13 kwietnia. O godzinie 2.00 wtargnęło do mieszkania czterech żołnierzy i młodszy lejtnant NKWD i po dokładnej rewizji mieszkania rozkazali nam ubierać się i pakować. Wolno nam było wziąć najpotrzebniejsze rzeczy do ubrania i trochę żywności na drogę. Na pytanie, dokąd jedziemy odpowiadali: „niedaleko, jakieś 100 kilometrów za Przemyśl, bo rodzinie aresztowanego nie wolno w przebywać mieście granicznym”. Uwierzyliśmy i nie przygotowaliśmy się na tak daleką podróż, jaka nas czekała. Z domu autem zawieźli nas na stację, gdzie w jednej z sal było już dużo takich jak i my. Do świtu zapełnił się cały dworzec i peron. Były to przeważnie kobiety z dziećmi, młodzież do lat 20 i starcy. Rano nastąpiło załadowanie do wagonów, które już od dawna czekały. Były to wagony towarowe z urządzonymi wewnątrz dwupiętrowymi pryzkami i zabitymi oknami. W wagonach tych zamknięto nas i ustawiono przed każdym człowiekiem z NKWD. Teren całego dworca był otoczony milicją i nikt nie miał prawa zbliżyć się do aresztowanych. 13 kwietnia o godzinie 10.00 w nocy nastąpił wyjazd. Dokąd jedziemy, nikt dokładnie nie wiedział, ale wszyscy już zdawali sobie sprawę, że tylko do Rosji. Przez ziemie polskie jechaliśmy nocą, zabierając po drodze jeszcze aresztowanych. Żywiono nas marnie: raz dziennie porcja ciepłej stawy, co drugi dzień 500 gramów chleba na osobę. Warunki w wagonach były ciężkie, brak miejsc, powietrza, a nocą chłód.

Zawieziono nas do Kazachstanu, miasta Kustanaj, gdzie znów załadowano nas na auta i zawieziono do kołchozów. Kołchoz Zujenka, do którego przybyliśmy, był oddalony od Kustanaj o 80 kilometrów. Rozlokowano nas w domach kołchoźników (którzy sami w swych mieszkaniach nie mogli się pomieścić). W parę dni po przyjeździe wysłano nas do pracy. Kto nie pracował, temu groziła utrata mieszkania i porcji chleba. W tym czasie (tam

wiosną) pracowaliśmy przy czyszczeniu stajen i wyrobie *kiziaka* (jest to nawóz zwierzęcy zmieszany ze słomą i wodą służący jako opał). Po miesiącu przerzucono nas z kołchozu do karasuskiego sowchozu, 157 ferma 1 (karasuski rejon, kustanajska *obłast*) oddalonego od Kustanaj i zarazem kolei o 180 kilometrów. Była to głusza. Prócz kilkunastu ziemianek kazachskich, stajen dla bydła i *kantoru* absolutnie niczego nie było. Wokół pustkowie – step i moczary (pozostałości wyschłych jezior). Mieszkań dla nas nie było, ulokowano nas w stajni, z której w naszych oczach wyprowadzano konie. Doprowadziliśmy ją sami do porządku i zamieszkaliśmy w niej. Mieszkaliśmy tam aż do późnej jesieni. Gdy chłód zaczął dokuczać, umieszczono nas po kilka rodzin w wolnych ziemiankach kozackich [kazachskich]. Były one zrobione z gliny, niskie, ciemne, duszne i w niemożliwy sposób zapluskwione. Od chwili przyjazdu pod groźbą sądu, więzienia itp. zabrano nas zaraz do pracy. Pracowaliśmy wszyscy, nawet matki mające drobne dzieci i dzieci od lat 12. Był to czas sianokosów i pracowano na stepie w kilku- i kilkunastokilometrowej odległości od fermy. Mieszkaliśmy na brygadzie w budzie, która wędrowała z nami na miejsca pracy. Pracowano bez odpoczynku od świtu do późnego wieczora. Jedynym wynagrodzeniem za pracę było wyżywienie na brygadzie: 3 razy dziennie pół litra zupy i 500 gramów chleba. Przez trzy miesiące pracowałam przy grabieniu i układaniu w sterty siana. Pod koniec lata przeznaczono mnie do wypasu bydła. Dostałam sama jedna 150 krów i 70 cieląt – warunki na tzw. *hurłach* [?] były ciężkie – ponieważ byliśmy w znacznej odległości od fermy (40 km), więc nie zawsze dowożono nam chleb i produkty, czasem zdarzało się, że i trzy dni prócz mleka nic nie jedliśmy. Spało się pod gołym niebem, bo żadnego schronienia, nawet przed deszczem, nie było. Jesienią wróciliśmy na fermę. Zaczęłam teraz pracować przy orce. Praca ta była dla mnie najcięższa z wszystkich. Pogoda okropna, zimno, deszcze i czasem już śnieg. Butów do pracy nie miałam, podarte pantofle przemakały i grzęzły w rozmiękłej ziemi. Nie miałam tyle siły, aby utrzymać cztery byki, które ciągnęły pług. Nie szły oznaczoną bruzdą, co utrudniało jeszcze pracę. Narażałam się tylko na złośliwe uwagi i nawet przekleństwa ze strony *uprawlajuszczego*. Pracowałam tak przez cały tydzień od świtu do 20.00. W nocy opadałam formalnie z sił, prawa ręka opuchła od knuta. Codziennie (co obliczyłam) robiliśmy 50 kilometrów. Prosiłam *uprawlajuszczego* o zwolnienie mnie z tej pracy, tłumacząc się brakiem siły i butów. O zmianie pracy nie chciał słyszeć, więc samowolnie porzuciłam ją i zaczęłam pracować na fermie. Natychmiast złożono na mnie meldunek i po dwóch tygodniach bez żadnego przesłuchania i sądu dnia 10 listopada 1940 roku aresztowano mnie i zawieziono do więzienia NKWD nr 7 w Kustanaj. W celi, w której siedziałam, było sześć Polek aresztowanych z powodu mniej więcej takiego

jak i ja. Były to kobiety, które – posiadając małe dzieci – nie mogły pracować i dlatego je aresztowano. Dzieci ich pozostały pod opieką znajomych zesańców lub oddano je bez zgody matek do przytułków sowieckich. Budynek więzienny był dwupiętrowy, otoczony podwójnym murem i „bocianimi gniazdami”, z których wartownicy dzień i noc obserwowali dziedziniec więzienny i budynek – nocą więzienie było oświetlone reflektorami.

Cela, w której siedziałam, była przeznaczona na sześć osób, nas było piętnaście. O jako takim spaniu mowy nie było, leżałyśmy ciasno jedna koło drugiej. Cela była ciemna (okna zasłonięte) i wilgotna. Brano nas do porządkowania, mycia podłóg i prania. Otrzymywałyśmy dziennie 450 gramów chleba, rano pół litra herbaty lub gorącej wody, w obiad pół litra zupy, wieczorem dwie łyżki kaszy. Odpowiedź na moje zażalenie przyszła dopiero 4 marca. Wzięto mnie na sąd do Karasu (naszego rejonu). Konwojowana przez dwu milicjantów szłam piechotą, z powodu wielkich zasp śnieżnych żadnych pojazdów nie było. W ciągu pół dnia przeszliśmy 90 kilometrów, dalej nie mogłam iść, ponieważ odmroziłam sobie obie nogi – miałam lekkie buciki, a mróz dochodził do 45 stopni. Na drugi dzień zawieziono mnie do pobliskiego felczera, który orzekł już gangrenę w dużym palcu u prawej nogi i radził jak najszybsze odwiezienie mnie do domu. Nim pojechałam, gangrena objęła już trzy palce. W domu przy pomocy znajomych pań i matki zlokalizowano zakażenie. Brak opieki lekarskiej, środków leczniczych i bandaży spowodowały, że choroba się przeciągnęła do pięciu miesięcy i musiało dojść do amputacji trzech palców.

Latem 1941 roku wybuchła w nas epidemia dyzenterii i tyfusu brzuszego, na którą umierała moc zesłanych Polaków. Z nazwisk, które pamiętam są: Marian Niezgoda, Zofia Dobrzańska, Zofia i Maria Bystrzycka, Witold Staraniewicz, Zdzisław Stankiewicz (dwaj ostatni to 4-letnie dzieci).

Zesańcy to przeważnie inteligencja, żony wojskowych, urzędnicy państwowi, lekarze, nauczycielki i t.p. Mimo ciężkich przejść i pracy, Polacy nie upadali na duchu i wierzyli w szybkie wyzwolenie i szczęśliwe jutro. Ta nadzieja wszystkich nas podtrzymywała i nie było chwili, aby ktoś się załamał i przestał wierzyć w powrót do kraju. Nieszczęście nas nie pogrążyło, lecz przeciwnie – wzbudzało w nas jeszcze większą siłę oporu.

Z kraju dość często jak na sowieckie stosunki otrzymywałyśmy listy i nawet paczki żywnościowe. Łączność urwała się z chwilą wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej. Nasza gromada Polaków (było to 60 osób) była żyta jak jedna wielka rodzina – pomagaliśmy

sobie wzajemnie i wzajemnie pocieszaliśmy się, wspólne mieliśmy zmartwienia i wspólnie cieszyliśmy się każdym listem z kraju. – Czasami zbieraliśmy się wszyscy, czytano wtedy listy, modlono się i wspominaliśmy te dobre dawne czasy, bo żyliśmy jedynie wspomnieniami z przeszłości. Jednak bardzo rzadko to czyniliśmy, bo byliśmy pod stałą obserwacją NKWD i każdy nasz krok był im znany. Odnoszono się do nas z wielką bezwzględnością – nikt nie interesował się, czy mamy co jeść, w co ubrać się, czy jest opał na zimę. Musieliśmy o to sami walczyć, a było z tym trudno, bo z fermy ciężko było się wydostać, a kazacy [Kazachowie] zamieszkujący fermę niczego nie posiadali. Stale starali się nam tłumaczyć, żebyśmy się nie łudzili ani na chwilę, że wrócimy do kraju – tu musimy żyć i pracować i do tego powinniśmy się przyzwyczać. Wszystkie te powiedzonka przyjmowaliśmy z ironią i śmiechem, bo wiara w nasz powrót do kraju była mocno zakorzeniona.

Amnestię powitałyśmy jak jakiś cud – był to najszcześniejszy dzień dla zesłańców. Każdy teraz pragnął wydostać się jak najprędzej z sowchozu i dotrzeć do tworzącej się armii polskiej, o której słabe wieści dochodziły do nas. A ciężko było się wydostać. Był to okres zniw i *uprawlajuszcy* nie chciał nas wcześniej zwolnić. Kilka rodzin szczęśliwie uciekło, my, przez moją nogę, nie mogłyśmy tego uczynić. Dopiero 20 października wyrwałyśmy się przy wielkich trudnościach z sowchozu. W Kustanaj delegatura [polska] wielką grupę zesłańców skierowała do Buzułuku. Niestety, nie dojechaliśmy tam, bo w Orenburgu nie pozwolono nam nawet wysiąść z pociągu i skierowano wszystkich na południe, tłumacząc, że tam właściwie tworzy się armia polska.

Teraz rozpoczęła się nasza wędrówka z miasta do miasta. Ostatecznie zajechaliśmy do Kokandu (Uzbekistan), gdzie byliśmy tylko miesiąc, ponieważ 30 listopada 1941 roku wszystkich Polaków posiadających *udostowierienija* NKWD wywiozło. Wieźli nas w kierunku północno-wschodnim, bez oznaczonego celu.

W drodze byliśmy dwa tygodnie bez żadnej opieki. Niespodziewanie przyszedł rozkaz, zawrócono nas powtórnie na południe i umieszczono w kołchozach pod Dżalalabadem (Kirgizja). Do przyjazdu 5 Dywizji Piechoty żyliśmy wszyscy w skrajnej nędzy – drożdżyna, brak gotówki i ubrania.

W czerwcu 1942 roku złożyłam podanie z prośbą o przyjęcie mnie w szeregi Pomocniczej Służby Kobiet (wcześniej nie mogłam tego uczynić, ponieważ długo jeszcze odnawiały się



rany na mojej nodze). 20 lipca zatwierdzono moje podanie. Odesłano mnie do Guzor, gdzie przeszłam komisję poborową i zostałam umundurowana.